

Fabulara, postacie, tempo... rewelacyjne! — LEE CHILD



Obleżenie

SIMON
KERNICK

Kernick pisze z pedałem gazu wciśniętym do dechy!

— HARLAN COBEN

1

7.45

Zabili ją, gdy tylko otworzyła drzwi frontowe.

Poszło jak z płatka. Byk, ubrany w granatową czapkę, niebieską koszulę i sweter pracownika poczty brytyjskiej, wyglądał jak przeciętny listonosz i trzymał w ręku średniej wielkości puste pudełko z logo Amazona, więc dziewczyna niczego nie podejrzewała.

Lis stał tuż poza polem widzenia. Był ubrany podobnie do Byka, ale miał plecak i pistolet samopowtarzalny. Broń trzymał nisko przy boku, żeby nie zobaczył jej nikt przechodzący ulicą. Nie był to konieczny środek ostrożności, bo wysoki wawrzynowy żywopłot skutecznie zasłaniał widok. Kiedy dziewczyna się pojawiła, Lis natychmiast uniósł broń; zanim go spostrzegła, pociągnął za spust i z bliska strzelił jej w skroń. Pistolet podskoczył w jego ręce, ale dzięki tłumikowi strzał zabrzmiał jak głośne pyknięcie. Dziewczyna osunęła się na futrynę, po jej policzku spływała krew. Byk rzucił puste pudełko i chwycił ją pod pachy.

Mijając go, Lis wyjął z tylnej kieszeni spodni kominiarzkę i naciągnął ją na głowę. Ruszył przez zagracony korytarz z wyciągniętym przed siebie dymiącym pistoletem. Zmierzał na tyły domu, skąd napływały odgłosy rodzinnego śniadania.

Słyszał, jak za jego plecami Byk wciąga martwą dziewczynę do środka i zamyka drzwi.

– Kto to, Magdo?! – Z kuchni dobiegł męski głos.

– Niech nikt się nie rusza – polecił Lis, wchodząc do kuchni pewnym krokiem, jakby dom należał do niego, co zresztą w obecnej sytuacji było bliskie prawdy.

Przy stole siedział dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku, pod krawatem, w rękę trzymał kubek herbaty. Miejsca naprzeciwko niego zajmowało dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka w różnych mundurkach szkolnych. Byli bliźniętami, ale wcale nie wyglądali podobnie. Chłopak miał bujne jasne włosy, był wysoki jak na piętnastolatka i barczysty jak ojciec. Dziewczynka, niska i pulchna, wydawała się znacznie młodsza od brata. Wszyscy troje patrzyli na Lisa z jednakowo zszokowanymi minami.

– Obawiam się, że Magda nie żyje – powiedział Lis, celując w ojca z utrzymanego pewnie w dłoni pistoletu. – A teraz wszyscy mają współpracować, bo inaczej też zginą. Współpraca oznacza siedzenie w absolutnym bezruchu.

Nikt nawet nie drgnął.

Do kuchni wszedł Byk. Na twarzy już miał kominiarkę. Zatrzymał się blisko drzwi, czekając na rozkazy. Jak sugerował jego przydomek, był wielkim facetem. Był również tępakiem, który bez mrugnięcia okiem robił, co mu kazano, i właśnie dlatego wybrano go do tej roboty. Nie bez znaczenia pozostawało także to, że jest wyzuty ze współczucia i że los bliźnich jest mu najzupełniej obojętny. Lis spojrzał na niego i na kołnierzyku jego koszuli zobaczył ślady krwi zamordowanej dziewczyny.

– Proszę... – Ojciec zauważył spojrzenie Lisa i przez wzgląd na dzieci mówił spokojnym głosem. – Weźcie, co chcecie, i odejdźcie. Nie mamy wiele.

Lis popatrzył na niego gniewnie. Ojciec przez siedemnaście lat był sierżantem policji; gdy trzy lata temu został na służbie

ugodzony nożem, przeszedł na rentę z przyczyn zdrowotnych. Z racji zawodu był przyzwyczajony do przejmowania kontroli podczas konfrontacji, co czyniło go potencjalnie niebezpiecznym przeciwnikiem. Lis napiął palec na spuście.

– Ani słowa, bo wpakuję ci kulkę w bebechy. Zrozumiano? Skiń raz głową na „tak”.

Ojciec skinął głową, powoli odstawiając kubek na stół i posyłając dzieciom krzepiące spojrzenie.

– Wstań i obróć się twarzą do ściany.

– Nie róbcie krzywdy mojemu tacie – odezwał się chłopiec, który, jak wiedział Lis, miał na imię Oliver. W jego niskim głosie brzmiała irytująca pewność siebie.

– Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli wszyscy będziecie wykonywać nasze polecenia – odparł Lis chłodnym, opanowanym tonem. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu okazać słabości. Było to niezwykle ważne, podobnie jak pohamowanie się od działań, które mogłyby spowodować wybuch paniki wśród zakładników. Znalezienie równowagi było kwestią nadzwyczaj delikatną. Przez jakiś czas musieli żyć.

– Nie będziemy stawiać oporu – obiecał ojciec, podnosząc się i odwracając w stronę okna. – Ale czy możecie mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie.

– Jesteśmy tylko zwyczajną rodziną.

Wcale nie, pomyślał Lis, w przeciwnym wypadku by nas tu nie było.

– Ponieważ jest wczesny ranek, będę udawać, że wciąż jesteście zaspani i nie usłyszeliście mnie za pierwszym razem. Jeśli znów się odezwiesz, to cię zastrzelę. Wolę mieć żywą całą trójkę, ale równie dobrze wystarczy mi dwójka.

Wtedy ojciec zrozumiał, że ma do czynienia z zawodowcami, i zachował milczenie.

Lis zsunął z ramion plecak i rzucił go Bykowi. Ten wyjął

plastikowe kajdanki jednorazowe i więzy na kostki. Osłaniany przez Lisa, podszedł do ojca, brutalnie wykręcił mu ręce do tyłu i zaczął je kępować.

Był to niebezpieczny moment. Jeśli ojciec zamierza podjąć jakąś próbę obrony, to właśnie teraz.

– Już nie celuję w ciebie – powiadomił go Lis, przesuwając broń w lewo. – Mam na muszce twojego syna. Pamiętaj o tym.

Ojciec zeszywniał. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ograniczył się jednak do skinienia głową.

– Gdzie twój telefon?

– Mam go w kieszeni.

– Dziękuję. Bądź tak miły, Byku, i go wyjmij.

Byk pokiwał głową, skuł nogi ojca, po czym szybko przeszukał jego kieszenie. Znalazł iPhone'a 4 i przekazał go Lisowi.

– Jakie hasło, żeby odblokować?

Ojciec mu je podał. Lis schował telefon do kieszeni i zapisał numer na wewnętrznej stronie przedramienia.

– Dzieciaki, wasza kolej. Pod ścianę, obok taty. Was też skrupujemy.

Ojciec zaczął odwracać głowę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zachował dość rozsądku, żeby ugryźć się w język.

Przez parę sekund bliźnięta siedziały bez ruchu. Dziewczynka – Lisowi powiedziano, że ma na imię India – wbijała oczy w stół, jak gdyby w ten sposób mogła sprawić, że całe to zdarzenie okaże się złym snem, podczas gdy Oliver oddychał ciężko i zaciskał pięści. Podniósł się pierwszy, obrzucając Lisa wyzywającym spojrzeniem, i stanął na prawo od taty. Lis podziwiał go za hart ducha. Trzeba być odważnym, żeby patrzeć krzywo na człowieka, który celuje do ciebie z pistoletu, zwłaszcza gdy masz tylko piętnaście lat. India zachowywała się zupełnie inaczej. Siedziała na krześle, jakby była do niego przyklejona, i Byk musiał ją

podnieść i pchnąć pod ścianę.

Kiedy wszyscy troje zostali skrepowani i stali w żalonym rządku plecami do niego, Lis wyjął iPhone'a ojca i zrobił im zdjęcie. Potem kazał im się odwrócić i zrobił drugie. Indii zbierało się na płacz. Ojciec wprawdzie wyglądał na przestraszonego, ale jego podbródek był hardo wysunięty. Oliver wciąż gniewnie patrzył spod jasnej grzywki, jakby się uważał za jakiegoś superbohatera, który dał się zaskoczyć nikczemnemu łotrowi i teraz knuje zemstę. Cóż, za późno, chłopcze, pomyślał Lis. Miałeś swoją szansę.

Znowu kazał im się odwrócić i podał pistolet Bykowi.

– Pilnuj ich – polecił. – Każdemu, kto się ruszy, strzel w nogę. – Lis wiedział, że nie musi grozić, ale przecież warto jasno dać do zrozumienia, jaka kara ich spotka za nieposłuszeństwo. Subtelność naprawdę nie jest przydatną cechą, kiedy bierze się zakładników.

Lis ściągnął kominiarkę i ruszył w kierunku drzwi frontowych, przestępując nad nogami Magdy, którą Byk posadził pod ścianą. Wyszedł z domu i udał się do zaparkowanej nieopodal furgonetki.

Na ulicy panowała cisza. Była to zamożna dzielnica wolno stojących domów zbudowanych w latach pięćdziesiątych, kiedy Londyn Zewnętrzny jeszcze nie cierpiał na niedostatek terenów budowlanych, i Lis przypuszczał, że tutejsi mieszkańcy nie wściubiają nosa w cudze sprawy. Trzydzieści metrów dalej zobaczył mężczyznę z nadwagą wsiadającego do samochodu, nowiutkiego lexusa. Mężczyzna go nie zauważył. Wyglądał na zmęczonego i zestresowanego. Baran, pomyślał Lis z pogardą. Facet nie żyje, tylko wegetuje. Nie widzi niczego oprócz swojego małego podmiejskiego światełka. Cóż, dzisiaj będzie inaczej. Dzisiaj ten człowiek, podobnie jak miliony innych, zwróci uwagę na świat istniejący poza progiem własnego domu. Dzisiaj bowiem świat do nich wszystkich zawita z zemstą.

Lis tyłem wjechał przez bramę na żwirowy podjazd i zatrzymał furgonetkę tuż przed wejściem frontowym. Otworzył tylne drzwi wozu i wrócił do domu.

– Dobra, teraz wybierzemy się na krótką przejażdżkę! – zawołał po wejściu do kuchni, zadowolony, że nikt się nie poruszył.

– Możesz nam powiedzieć, dokąd nas zabieracie? – zapytał ojciec, nie odwracając głowy.

– Niestety nie, ale mogę zapewnić, że wasz pobyt poza domem będzie krótkotrwały. Wieczorem was zwolnimy i ta przygoda pozostanie tylko nieprzyjemnym wspomnieniem.

Gdy skończył mówić, wyciągnął z plecaka paralizator, włożył kartridż i wystrzelił w ojca dwie elektrody. Mężczyzna z potężnym hukiem runął na podłogę. Dzieci podskoczyły.

– Co pan zrobił mojemu tacie?! – wrzasnął Oliver.

– Uciszyłem go na chwilę – odparł chłodno Lis.

Podczas przetrzymywania zakładnika nie wolno dopuścić do tego, żeby ten przyzwyczaił się do sytuacji. Przestrzeganie powyższej zasady jest jednym z kluczy do sukcesu. Najlepszy sposób na osiągnięcie celu polega na bezustannym wprowadzaniu szokujących zmian.

Lis zrobił to więc po raz drugi – podszedł do Olivera i uderzył go w głowę.

Chłopak nie spodziewał się ciosu. Potknął się i o mało nie upadł, ale Lis złapał go za kołnierz szkolnego blezera i, słaniającego się na skrępowanych nogach, wywlókł na korytarz. Tymczasem Byk chwycił bliską hysterii Indię za kark, wbił jej lufę pistoletu w plecy i wyprowadził ją z kuchni.

Oliver ze świstem wciągnął powietrze, gdy zobaczył zwłoki Magdy. Dziewczyna siedziała z przechyloną głową, miała lekko otwarte usta i język wysunięty na dolną wargę, jakby stroiła śmieszne miny. Jej oczy były zamknięte, jasne włosy – całe we krwi.

– Nie żyje – powiedział. W jego głosie po raz pierwszy

pojawiła się płaczliwa nuta.

Zanim mógł coś dodać, Lis podłożył mu nogę i zmusił go, żeby usiadł na podłodze tak blisko martwej dziewczyny, że prawie stykali się ramionami. Byk posadził Indię po drugiej stronie Magdy, przyciskając jej tłumik do czoła, by wymusić posłuszeństwo. Dziewczynka przestała płakać, ale na jej twarzy malowała się rozpacz.

Lis po raz drugi wyjął iPhone'a ojca i zrobił całej trójce dwa zdjęcia. Potem włączył kamerę i nagrał, jak Byk powoli przesuwając pistolet od głowy jednego dziecka do głowy drugiego. Przekaz był oczywisty.

Kiedy skończyli, Lis nałożył dzieciom kaptury, okręcił je taśmą samoprzylepną, a następnie kolejno zaprowadził bliźnięta do furgonetki. Kazał im się położyć jedno obok drugiego na podłodze, sprawdził, czy nie mają przy sobie telefonów komórkowych, i zamknął drzwi. Wyłączył iPhone'a ojca. Był profesjonalistą i wiedział, jak łatwo jest namierzyć komórkę. Musiał dopilnować, żeby policja nie odkryła, jaką trasę pokona i dokąd trafi ten telefon.

W końcu odwrócił się w stronę Byka.

– Wiesz, co robić – powiedział powoli. – Już czas.

Byk skinął głową i razem weszli do domu.

Ojciec w dalszym ciągu leżał na podłodze, wciąż jeszcze porażony paralizatorem, ale ponieważ był potężnym facetem, już zaczynał dochodzić do siebie.

Lis patrzył, jak Byk siada mu na piersi, kolanami przyciskając jego ramiona, i przykładając tłumik do jego czoła. Przerażony mężczyzna szeroko otworzył oczy i próbował poruszyć głową, ale wciąż był na wpół przytomny. Byk spojrział na Lisa jak pies czekający na komendę pana.

Lis skinął głową i Byk pociągnął za spust.

Ich plan nie przewidywał zabierania ojca. Istniało zbyt wielkie ryzyko, że facet spróbuje zostać bohaterem, a poza tym dzieciaki były im bardziej potrzebne niż on.

– Teraz jesteś jednym z nas – powiedział Lis, kiedy Byk powoli się podniósł.

Byk się uśmiechnął. Wyglądał na zadowolonego.

Lis zabrał mu pistolet i wsunął go za pasek z tyłu spodni. Gdy wyszli z domu, spojrzął na zegarek.

Siódma pięćdziesiąt jeden. Cała dotychczasowa akcja, od momentu zapukania do drzwi, trwała sześć minut. Zgodnie z rozkładem.

Ale kiedy podeszli do przodu furgonetki, Lis napotkał pierwszą tego dnia przeszkodę. Starsza pani z szaloną białą fryzurą, jak ten niemy z braci Marx, obok otwartej bramy prowadziła kilka szurkowatych psów. Najwidoczniej cechowała ją wieczna podejrzliwość typowa dla koordynatora straży sąsiedzkiej, bo od razu zwolniła i obrzuciła ich obu przeciągłym spojrzeniem, które mówiło, że: a) wcześniej ich nie widziała w tych stronach i: b) właśnie z tego powodu nie zapomni szczegółów ich wyglądu, po prostu na wypadek, gdyby mieli jakieś niecne zamiary.

Ona też będzie musiała umrzeć.

Lis wiedział, że wygląda jak przeciętny około trzydziestopięcioletni biały mężczyzna, więc uznał, że starsza pani z przedmieścia nie powinna się spodziewać zagrożenia. Szeroko się do niej uśmiechnął.

– Przepraszam! – krzyknął, chowając przed nią pistolet i ruszając w jej stronę. – Czy mogłaby nam pani pomóc?

Jego plan był prosty. Wciągnie ją za bramę, jednym szybkim ruchem skręci jej kark i ukryje ciało w krzakach. Potem podusi te małe jazgotliwe kundle.

Starsza pani przystanęła, ale wcale nie patrzyła na Lisa, który wciąż szczerzył zęby w uśmiechu. Spoglądała w kierunku furgonetki i Byka. Plan miał jeden minus – Byk. Lis był pewien, że wielki gamoń dokłada wszelkich starań, żeby nie wyglądać podejrzanie, i przez to sprawia wrażenie winnego jak cholera. Albo, co gorsza, wlepia w starą sukę

te swoje martwe ślepia.

Lis zmniejszał odległość. Mówił, próbując uśmierzyć jej podejrzenia.

– Mieliliśmy dostarczyć pralkę, ale nikt nie odpowiada...

Jeszcze trzy sekundy, a będzie po niej.

Nagle starsza pani zrobiła przestraszoną minę.

– Przykro mi, nie mogę pomóc – powiedziała prędko i zanim mógł ją złapać, odwróciła się na pięcie. Śpiesznie wyszła za bramę w chwili, gdy przejeżdżająca obok ciężarówka UPS zwolniła, żeby nie potrącić aut zaparkowanych po obu stronach jezdni.

Lis zaklął i szybko zawrócił do furgonetki.

– Nie obrzuciłeś jej jednym z tych swoich spojrzeń, co? – zapytał Byka, zajmując obok niego miejsce w samochodzie.

Byk pokręcił głową, wyraźnie gotów do obrony.

– Wcale na nią nie patrzyłem, Lisie. Szczerze. – Głos miał niski, ale mówił z irytującym dziecinnym popiskiwaniami.

Lis westchnął; wiedział, że dociekanie nie ma sensu. Zapuścił silnik i wyjechał z podjazdu.

Starsza pani znajdowała się już dwadzieścia metrów dalej, odwrócona do nich plecami. Lekko przekrzywiła głowę, jakby nadsluchiwała odgłosów pościgu. Rozwidniało się i próba ataku byłaby zbyt ryzykowna, więc Lis pojechał w przeciwnym kierunku. Miał nadzieję, że zanim kobieta zrozumie znaczenie widzianej przed chwilą sceny, będzie o wiele za późno, żeby ona albo ktokolwiek inny mógł w związku z tym coś zrobić.

Zaczął mżyć listopadowy deszcz, którego chłód przenika do szpiku kości. Lis spojrział w szare jak ołów niebo i pomyślał, że to naprawdę straszny dzień.

I że dla wielu osób, zwłaszcza dla tych z tyłu furgonetki, wkrótce stanie się jeszcze straszniejszy.

2

15.05

W końcu to zrobiła. Zareczyła się. Miała dwadzieścia osiem lat – niemal staruszka w oczach pokolenia jej rodziców. Prawdę mówiąc, w tym wieku jej matka miała już troje dzieci. Ale w przeciwieństwie do matki, która młodo wyszła za mąż i została w domu, żeby wychowywać dzieci, Elena Serenko poświęciła się pracy zawodowej. Po dziesięciu latach od przyjazdu z Polski do Londynu, gdzie zaczynała jako nocna recepcjonistka w zapuszczonej norze w Catford, została najmłodszym kierownikiem zmiany w liczącym trzysta dwadzieścia pokoi hotelu Stanhope przy Park Lane, jednym z najbardziej prestiżowych pięciogwiazdkowych hoteli West Endu. Całkiem niezłe osiągnięcie jak na dziewczynę z Krasnegostawu.

A teraz, po tej długiej drodze w górę, wyglądało na to, że odejście. Rod, jej chłopak, z którym chodziła od półtora roku – przepraszam, narzeczony – pochodził z Australii i chciał, żeby właśnie tam zamieszkali. Namawiał ją na to od miesięcy. Jego dom rodzinny stał w nadmorskim miasteczku godzinę drogi na południe od Sydney i Elena wiedziała, że Rod bardzo tęskni za słońcem i oceanem. Szczerze mówiąc, po dziesięciu latach spędzonych w szarym, dżdżystym Londynie

ją też kusiła zmiana klimatu. Australia leży na drugim końcu świata, więc od rodziny i przyjaciół dzieliłyby ją tysiące kilometrów. Ale Elena zawsze pragnęła podróżować, urodziła się z żyłką awanturniczą i wiedziała, że będzie żałować, jeśli nie da sobie szansy i nie spróbuje.

Kiedy więc wczoraj wieczorem w salonie ich wspólnego mieszkania Rod niespodziewanie poprosił ją o rękę, zgodziła się z zachwytem, ponieważ mimo jego wad (a, jak wszyscy mężczyźni, miał ich mnóstwo) naprawdę go kochała. Później znowu ją zaskoczył, mówiąc, że chce wrócić do domu na Boże Narodzenie. Na zawsze. Z nią.

Do Bożego Narodzenia zostało tylko pięć tygodni, co oznaczało, że musiałyby złożyć wymówienie w ciągu paru dni. Poprosiła Roda o trochę czasu do namysłu, bo wszystko stało się tak nagle, a on, ponieważ był, jaki był, wyraził zgodę. Teraz, gdy szła przez wystawnie urządzone hol Stanhope, odruchowo sprawdzając, czy kwiaty w wazonach pod ścianami są świeże i odpowiednio ułożone, podjęła decyzję. Tak po prostu. Zwykle nie ulegała impulsom, ale wiedziała, że ta decyzja jest słuszna. Pojedzie i zacznie nowe życie na drugim końcu świata.

Ta myśl przepelniała ją mieszaniną zdenerwowania i podniecenia. Przysięgła sobie, że zadzwoni do Roda i przekaże mu dobrą nowinę, gdy tylko znajdzie wolną chwilę. Najpierw jednak musiała zająć się bardziej nagłą sprawą. Panem Al-Jahabim.

Pan Al-Jahabi był jednym ze stałych gości hotelu, zamożnym Saudyjczykiem, który często przyjeżdżał do Londynu w interesach. Przeważnie w sierpniu, żeby uciec przed upałem pustyni, wraz z rodziną wynajmował apartamenty na ostatnim piętrze. Był nadzwyczaj cennym klientem i nigdy nie szczędził napiwków. Miał jednak nienasycony apetyt seksualny, który, o ile Elena wiedziała, przekraczał wszelkie możliwe normy. Każdej nocy, gdy nie

było z nim jego żon, korzystał z usług prostytutek. Nie był to problem sam w sobie. Wielu samotnych mężczyzn w Stanhope (i w większości innych hoteli) przyjmowało w swoich pokojach osoby do towarzystwa i wszystkie próby ograniczenia tej praktyki zawsze były skazane na niepowodzenie. Jeśli więc sprawy załatwiano dyskretnie, kierownictwo przymykało oko. Problem z panem Al-Jahabim polegał na tym, że nie wystarczały mu prostytutki. W ciągu ostatniego roku co najmniej trzykrotnie przystawiał się do pracownic. Raz pokojówka oskarżyła go o napaść seksualną i dopóty groziła, że pójdzie na policję, dopóki pan Al-Jahabi nie dał jej tysiąca funtów napiwku – albo łąpówki, w zależności od punktu widzenia. Pokojówka, dziewczyna z Filipin, niedługo później odeszła z pracy. Zdarzenie miało miejsce sześć miesięcy temu i od tamtej pory pan Al-Jahabi zachowywał się jak należy, a przynajmniej panował nad swoim temperamentem.

Do tego popołudnia.

Według Colina, kierownika zmiany od siódmej do piętnastej, parę minut po trzynastej pokojówka poszła posprzątać pokój, gdzie zobaczyła nagiego i podnieconego pana Al-Jahabiego, który poprosił o coś zwanego (słowa Colina) „szczęśliwym zakończeniem”. Pokojówka uciekła i natychmiast poskarżyła się swojemu szefowi, Mohammedowi, a ten powiadomił Colina. Colin zdołał uspokoić pokojówkę, odwiódł ją od robienia afery, obiecał, że załatwi tę sprawę, i dał jej wolne na resztę dnia.

Tyle że niczego nie załatwił. Wymyślił wymówkę, że musi zająć się rodziną, która nie chce zwolnić pokoju, i rozmowę z panem Al-Jahabim zostawił Elenie, co było dla niego typowe. Nikt nie chciał denerwować pana Al-Jahabiego z obawy, że przeniesie gdzieś indziej swoją wyjątkowo cenną osobę i obwini o to tego, kto wszedł mu w drogę. Elena jednak wiedziała, że musi poruszyć tę kwestię. Marzyła

jedynie, żeby przestał jej doskwierać uporczywy kac po nocnym świętowaniu. Piąta nad ranem nie jest najlepszą porą na kładzenie się spać, kiedy trzeba wstać do pracy, nawet jeśli zaczyna się o trzeciej po południu.

W drodze na górę Elena szybko rozejrzała się po półpiętrze, żeby sprawdzić, czy sala balowa została należycie wysprzątana po trzydniowej konferencji, która skończyła się tego ranka (została i wyglądała nieskazitelnie), po czym weszła do przyległej kuchni.

Jak we wszystkich wielkich hotelach, w Stanhope były liczne kuchnie usytuowane w punktach cateringowych, służące do podgrzewania dań dostarczanych z głównej kuchni na parterze, żeby zyskały odpowiednią temperaturę przed podaniem na stół. W kuchni za salą balową znajdowała się podręczna spiżarnia, lubiana przez pewnych członków personelu, ponieważ pod dolną półką było miejsce idealne na ukradkową drzemkę. Wystarczyło się tam wsunąć i wygodnie ułożyć. Schowek cieszył się taką popularnością, że parę miesięcy wcześniej dwóch sprzątaczy z Bangladeszu nawet się o niego pobiło, wskutek czego jeden trafił do szpitala ze złamanym nosem, bo ten drugi przyłożył mu dużą puszką ananasa w kawałkach. Od tamtej pory często się mówiło o zabiciu wolnego miejsca deskami, ale jak dotąd nikt się do tego nie zabrał, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy lubili od czasu do czasu uderzać tam w kimono, łącznie z samą Eleną (choć tylko raz i zaledwie na dziesięć minut).

Czując się w dziwnie psotnym nastroju, Elena podeszła na palcach do drzwi spiżarni i po cichu je otworzyła. W mroku pochyliła się, żeby zajrzeć pod półkę, choć łagodne pochrapywanie już ją poinformowało, że ktoś tam śpi.

Uśmiechnęła się. To Clinton, sędziwy konserwator, który pracował w hotelu od ponad trzydziestu lat. Leżał na wznak, z pasem z narzędziami przy boku, i spał jak dziecko, jego

wydatny brzuch wznosił się i opadał miarowo.

Gdyby się okazało, że to ktoś inny, Elena by go zbudziła i dała mu bure, ale ponieważ była w dobrym humorze, a Clinton ciężko pracował i wyglądał tak cholernie spokojnie, nie mogła się zmusić, żeby to zrobić. Dlatego go zostawiła i po cichu zamknęła drzwi.

W Stanhope na najwyższym – dziesiątym – piętrze znajdowały się cztery luksusowe apartamenty, wszystkie z prywatnymi tarasami i widokiem na zieleń Hyde Parku. Kosztowały przeciętnie cztery tysiące funtów za dobę – grosze dla kogoś takiego jak pan Al-Jahabi, który już od tygodnia zajmował największy i najdroższy z nich.

Poza powitaniem go, kiedy wraz ze swoją świtą przybył do hotelu, Elena nigdy wcześniej nie musiała rozmawiać z panem Al-Jahabim; teraz też się do tego nie paliła. Zebrała się w sobie, stanęła przed jego drzwiami, odetchnęła głęboko i zapukała.

Przez parę sekund nie było odpowiedzi. Już miała zapukać ponownie, kiedy drzwi się lekko uchyliły i stanęła w nich młoda kobieta, niewiele więcej niż osiemnastoletnia, ale ze stwardniałymi rysami kogoś, kto uprawia zawód pogardzany przez innych.

– Och – mruknęła, mierząc Elenę od stóp do głów z lekko zniesmaczoną miną. – Myślałam, że to obsługa. Zamówiliśmy szampana.

Tłumiąc irytację i obrzucając prostytutkę zimnym spojrzeniem, Elena się przedstawiła, po czym poprosiła o rozmowę z panem Al-Jahabim.

– Tylko zobaczę, czy jest wolny – powiedziała dziewczyna, odwzajemniając zimne spojrzenie, i zamknęła drzwi.

Minęły dobre dwie minuty, zanim drzwi znów się

otworzyły, tym razem odsłaniając tęgiego Araba po pięćdziesiątce z gęstymi czarnymi wąsami, ubranego jedynie w czarny płócienny szlafrok. Wiedząc, że nie może przeprowadzić tej rozmowy w korytarzu, chociaż tak by wolała, Elena przeprosiła za najście i powiedziała, że chciałaby z nim zamienić słówko na osobności.

Uśmiechnął się, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, i wprowadził ją do przestronnego holu. Drzwi do innych pokoi były zamknięte, ale Elena słyszała chichotanie dobiegające z głównej sypialni.

– Proszę spocząć, panno... – zaczął, spoglądając na identyfikator Eleny i wskazując jej skórzaną sofę w kącie. Podszedł do niej. – Serenko?

– Tak – odparła, cofając się o krok. Miała wysokie obcasy, lecz mimo to był od niej wyższy o kilkanaście centymetrów. – I wolę stać, dziękuję. Otrzymaliśmy poważną skargę od jednej z osób z personelu.

– Naprawdę? A czego dotyczyła skarga?

– Podobno pan się obnażył i robił sugestywne komentarze. Jest pan bardzo cennym klientem, panie Al-Jahabi, ale Stanhope nie może tolerować takiego traktowania swojego personelu. – Ty obleśny stary łajdaku, dodała w myśli. Potrafiła zdumiewająco dobrze się kontrolować, kiedy jej na tym zależało.

Pan Al-Jahabi parsknął śmiechem i Elena zauważyła, że jego wzrok jest nieco rozbiegany, a on sam niezbyt pewnie trzyma się na nogach. Wyglądało to na skutki klasycznej kombinacji alkoholu i koki.

Boże, tylko tego brakowało.

– Co dokładnie mówi? Że pokazałem jej fiuta? Dlaczego miałbym to robić?

– Nie jestem pewna, panie Al-Jahabi, ale...

– Mam tu dwie piękne dziewczyny. Nie potrzebuję waszych pokojówek. – Urwał, przebiegłe patrząc na nią

oczami o zwężonych źrenicach. – Chociaż... gdyby wyglądała jak pani, mógłbym się skusić. Chciałaby pani zarobić trochę prawdziwych pieniędzy, panno See-Renko? – Sięgnął do kieszeni szlafroka, wyjął gruby plik banknotów i znów się pochylił w jej stronę.

W jego oddechu Elena wyczuła zapach gorzałki i zrobiło jej się niedobrze. Musi się stąd wydostać, i to szybko. I kiedy tylko to robi, bezzwłocznie skontaktuje się z Siobhan, dyrektorką, która wyjechała na jakiś kurs. Poprosi ją o zgodę na natychmiastowe wyrzucenie tego człowieka z hotelu bez względu na to, jak cennym jest klientem.

– Chyba chcesz, co? – zapytał lubieżnie pan Al-Jahabi; stał teraz tak blisko, że jego szlafrok muskał jej spodnium. – Może do nas dołączysz na jakiś czas, co? Wciągnij trochę koki. Spodoba ci się.

Zaczął odliczać z pliku pięćdziesięciofuntowe banknoty; wartość każdego z nich przekraczała połowę dniówki kierownika zmiany po opodatkowaniu. Dla człowieka takiego jak on to było nic. Po jego aroganckiej, pijackiej gębie Elena poznała, że w przeszłości kupił mnóstwo ludzi, pokazując im odrobinę swojego bogactwa.

Odruchowo, bez zastanowienia, kopnęła go kolanem w krocze. Mocno.

Pan Al-Jahabi na skutek totalnego szoku szeroko otworzył oczy. Elena też była zszokowana. Nigdy wcześniej nie zrobiła czegoś takiego (wyjąwszy jeden przypadek, kiedy miała dziewięć lat i starszy brat Krzysł usiłował jej wepchnąć dżdżownicę do buzi) i przez długą nierealną chwilę patrzyła, jak pan Al-Jahabi osuwa się na kolana, oburącz trzymając się za obolałe miejsce. Z jego ust popłynął przeciągły jęk. Przytomniejąc, odwróciła się i szybko wyszła z apartamentu, próbując przyjąć do wiadomości fakt, że właśnie dokonała czynnej napaści na jednego z najbogatszych, nieliczących się z pieniędzmi gości Stanhope.

Przystanąła w korytarzu, starając się uspokoić. Nawet gdyby powiedziała Siobhan całą prawdę o tym, co się stało, nie łudziła się, że zachowa posadę. Al-Jahabi był bogaty. Miał władzę. Dlatego takie ekscesy uchodziły mu na sucho. Zażąda zemsty i nie będzie musiał długo na nią czekać. Elena zdawała sobie sprawę, że hotel nie wystawi jej referencji, co będzie oznaczać, że nie dostanie przyzwoitej pracy w Australii. Cholernie niesprawiedliwe, że wydarzyło się to w dniu, który powinien być jednym z najszcześniejszych w jej życiu. Zbierało jej się na płacz, ale zmusiła się do zachowania zimnej krwi. Jak mawiała jej babcia, łyzy nie rozwiążą problemu.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła do wind, po drodze zastanawiając się, czy ten dzień może być jeszcze gorszy.